

Helena Dunicz-Niwińska

Chciałabym spytać o moment, w którym odzyskała pani wolność...

No, nie rozumiem pani.

Mówić głośniejsze?

Bardzo proszę.

W porządku. Chciałabym...

Nie rozumiem pani, przepraszam.

Pani Helenko, a może inaczej panie usiądziecie? – wtrąca Karol Kowalski, wiceprezes Związku, który zgodził się nas zapoznać i uczestniczyć w rozmowie.

Możemy spróbować – odpowiadamy.

Proszę do mnie mówić na próbę – sugeruje Helena Dunicz-Niwińska, zmieniając ustawienia aparatu.

No dobrze, możemy zacząć od momentu wyzwolenia?

Znowu, chyba baterie za słabe albo to kwestia innego pokolenia.

Co ma pani na myśli? – pytamy równocześnie z Karolem Kowalskim.

Nowe pokolenie inaczej mówi, szybko, z inną intonacją...

To prawda. Spróbujmy raz jeszcze, będę mówiła do pani wolniej, a w razie czego proszę mnie zatrzymać. Próbujemy?

Tak, bardzo proszę.

Odtąd nieźle nam idzie, ale też Helena Dunicz-Niwińska wytrwale i w skupieniu wpatruje się w moją twarz, jakby czytając z ruchu warg. Gdy tylko pojmuje sens pytania, odwraca na chwilę wzrok. Potem wraca, spogląda mi prosto w oczy i jest w tym spojrzeniu przenikliwość, ale też wyraźna potrzeba poparcia tego, co mówi.

W jaki sposób odzyskała pani wolność? I w jakim była pani wówczas stanie?

2 maja, 1945. Czułam się bardzo nieszczęśliwa, bo już wiedziałam, że mój obóz zajmą Rosjanie, Armia Czerwona. A ja znałam ich ze Lwowa. Dla mnie to było klęską. Byłyśmy wszystkie zagłodzone, wiadomo, co się działo. Myśmy dosyć późno z tego baraku wyszły wraz z najbliższymi koleżankami, z którymi byłam zżyta. Więc zaczęłyśmy szukać jedzenia i miejsca, żeby przenocować. Znalazłyśmy w barakach esesmańskich jakieś jeszcze wolne pokoje. Nie czułam tej wolności, bo uważałam, że to nadal będzie niewola.

Straciła pani rodzinę. Miała pani pomysł, co robić i dokąd iść?

No właśnie. Od razu myślałam: co ja mam ze sobą zrobić? Do mojego obozu przyjechali Amerykanie, takim dżipem. I oni nam powiedzieli: „Słuchajcie, przyjdą Rosjanie”. Jak to usłyszałam, to się załamalam. Polski właściwie nie ma. Lwów? Docierały do nas wiadomości, że Lwów jest zajęty przez Rosję, która na pewno go anektuje. A poza tym nie mam już nikogo z rodziny. Wiedziałam, że jeden z braci żyje i jest w Anglii, a drugi nie wiadomo – myślałam wtedy, że jest w Gross-Rosen. Czy mam starać się pójść na Zachód? Czy jednak jakoś dotrzeć do tak zwanej Polski? Myślałam, że łatwo będzie znaleźć brata, bo działa Czerwony Krzyż, ale nie pamiętałam żadnych adresów. Nie znalazłam jednak nikogo w moim najbliższym otoczeniu, kto by się wybierał na Zachód. I taki był dylemat. Moja przyjaciółka, Jadwiga Zatorska mówi: „Jedziesz ze mną do Krakowa, ja cię zabieram do siebie”. Wiedziałam, że ona mieszka w Krakowie, że ma liczną rodzinę, ale wiedziałam też, że to jest na pewno rodzina uboga. No i jak ja mam im zrobić kłopot? Ale Jadwiga była tak serdeczna i stanowcza, powiedziała: „Wracam”. Nas była taka grupa Polek z orkiestry. W styczniu 1945 roku dołączyły do nas trzy koleżanki, które były ze Śląska i Poznania. Stworzyłyśmy grupę siedmiu osób. Jeszcze jedną albo dwie noce spędziłyśmy w tych esesmańskich barakach. Wyszłyśmy też poza obóz, żeby znaleźć jedzenie.

A ubranie? Wciąż miały panie pasiaki?

Myśmy miały stosunkowo dobre ubrania. W tym pokoju esesmanek znalazłam granatową spódnicę i bluzkę popielatą – esesmańską, ale trudno, trzeba było wziąć. Szukałam butów, ale nie było odpowiednich dla mnie. (Z wyraźnym żalem:) Były tylko na obcasach, ale absolutnie, bo byłyśmy odzwyczajone zupełnie od porządnych butów. Miałam takie jedne sznurowane do kostki, ale każdy był z innej pary, bo mój but – to znaczy jeden z butów – spalił się w czasie jazdy pociągiem z Wodzisławia do Ravensbrück. Ta koleżanka, która mi odstąpiła jeden but, szła z nami w naszej grupie, pochodziła ze Śląska. Miała, zdaje się, grać na mandolinie. Ale nie zdążyła.

Jak przedostały się panie z obozu do Krakowa?

Początkowo szłyśmy pieszo. Ale też byłyśmy zbyt wyczerpane. A, jeszcze chciałam powiedzieć na początku, że wyszłyśmy poza obóz, żeby znaleźć jedzenie, bo niedaleko była kolonia niemiecka

robotników zatrudnionych w fabryce skrzydeł samochodowych. Rodziny niemieckie tam mieszkaly, domy juz byly puste. Szukalyśmy, ale bezskutecznie. Znalazlyśmy tylko słoik tłuszczu, w ogródku ziemniaki, coś takiego. Nasze poszukiwania nie daly niczego specjalnego.

Wracając, zobaczylyśmy na brzegu gościńca zdechłego konia. No i zaczęlyśmy obrzynac jego mięso, po prostu. W pokojach esesmańskich zabarykadowalyśmy się, czym można bylo, głównie szafkami, żeby nikt z czerwonoarmistów się nie dostal. Jednak wiedzialyśmy, czego się można po nich spodziewac. Po jednej czy dwóch nocach wyszlyśmy. Bylyśmy bardzo oslabione, wiedzialyśmy, że trzeba najpierw nabrac sil. Znalazlyśmy po drodze bardzo przyjemny domek pod lasem, chyba nalezal do leśnika. Bylo tam kilka opuszczonych pokoi. Byla jeszcze pościel, pierzyny, łózka, kanapy – tam się ulokowalyśmy. Po drodze blakala się jakaś kura, w szopce byl żywy wieprzek. I tak musialyśmy sobie radzić. Barykadowalyśmy się co noc, balyśmy się. A musialyśmy wychodzic do wioski. Po iluś dniach wstapilo do nas kilku więźniów, byli w pasiakach. Pogadalo się. Okazalo się, że oni ida z Dory (wówczas nie wiedzialam, co to jest Dora). Jeden z nich byl rzeźnikiem, powiedzialyśmy mu więc, żeby się zajal tym wieprzkiem. Umowa byla, że dostana połowe mięsa, a druga nam zostawia. Jedna z koleżanek dobrze gotowala. Ale tez zaopiekowal się nami pewien Rosjanin.

W poblizu byla jednostka Czerwonej Armii, bo na poczatku naszej przeprawy jeszcze trwala wojna. Przyszli do nas ktoregoś wieczoru, przynieśli wódke i jakies gotowane kości, czestowali nas. Ale my bylyśmy za slabe na takie znajomosci, więc dali nam spokój. Jeden z tych Rosjan przyszedl do nas po chwili sam i mówi: „A ja wiem, czego wy się boicie. Ja tu bede do was przychodzil na noce i was pilnowal. Tylko musi ktoraś z was ze mną rozmawiac, zebym ja nie zasnal”. Iwan się nazywal. Więc mialyśmy dyzury rozmawiania. W stajence byl tez koń, klacz. Zajal się nią, przyniosl obrok. I kolegami tez mial się zajac. Po tygodniu mówi nam: „Musicie jednak ruszyc, bo juz mnie koledzy nie daja spokoju, mówiac, że ja tu pewnie mam harem”. W stajence znalazlyśmy bryczkę, on nam dal tego konia. I na bryczkę dalyśmy pierzyny, koce, talerze, widelce, noze. Kazda z nas miala jakaś mala walizkę. W tym domu nic z ubrań nie bylo, tylko suknia slubna wisiala w szafie. No

więc – skoro ja nie bardzo się zabierałam do gotowania – powiedziałam, że poszyję biustonosze. I rzeczywiście, pokroiłam suknię i zaopatrzyliśmy się w ten sposób. Załadowane rzeczy jechały na bryczce, a my szliśmy obok niej, jakieś dwa, trzy tygodnie co najmniej to trwało. Doszliśmy do Krzyża, to była dawna miejscowość graniczna między Polską a Niemcami, i tam natrafiłyśmy na stację kolejową. Rosjanie oczywiście nas sprawdzali, ale nie miałyśmy żadnych dokumentów. Zatrzymali nas na tej stacji i nie chcieli puścić dalej, miałyśmy pracować. Kazali nam ładować na skład jakieś towary, rury, zwoje sznurów, druty, wory, nie wiem co. Okazało się, że oni to wszystko, co ściągną z okolicznych terenów, wywożą do Rosji. Spędziłyśmy tam dwa, trzy dni. Tamci polscy chłopcy z Dory też z nami byli, niby się nami opiekowali, ale tak naprawdę miałyśmy kłopoty nocami. Oni też pracowali na tym dworcu. Aż natrafili na magazyn papierosów i nimi przekupili kolejarzy. Puścili nas po kilku dniach, mówiąc: „Możecie już jechać, odpracowałyście”. Ta wędrówka zajęła nam prawie cały maj, dotarliśmy chyba dopiero 29 maja.

Dotarła pani do Krakowa. Przed wojną mieszkała pani we Lwowie, teraz trzeba było zacząć od nowa. Jak to się działo?

Łatwo nie było. W Krakowie rodzina mojej przyjaciółki dała mi dach nad głową. W jednym pokoju z kuchnią było pięć osób i jeszcze ja doszłam. Wiedziałam, że oni sobie wszystkiego odmawiają, bardzo skromnie żyli. Chciałam jak najszybciej gdzieś indziej znaleźć miejsce. Koleżanka była krakowianką, pokazywała mi Kraków, dużo chodziłyśmy. Ona zaczęła jednak pracować, więc dalej zaczęłam chodzić sama po mieście. W jednym miejscu znalazłam taką tablicę, na Basztowej ulicy: „Związek Zawodowy Muzyków”. Pomyślałam: o, dobrze, zgłoszę się tam, może mają pracę, na przykład w szkole? We Lwowie byłam angażowana do koncertów symfonicznych, co tydzień odbywały się te koncerty. Ale nie miałam odwagi zgłosić się do filharmonii krakowskiej. Przez pięć lat nie miałam przecież porządnych skrzypiec w ręce. Za tych pierwszych bolszewików we Lwowie codziennie trzeba było szukać i stać za jedzeniem, nie było już siły i czasu grać. Potem prawie rok w więzieniu, następnie obóz. Poszłam do związku muzyków, zobaczyłam gablotę i ogłoszenie z nazwiskiem Tadeusz Ochlewski – to był przedwojenny wydawca czasopism muzycznych. Jeden z ostatnich

listów, które dostałam jeszcze w Oświęcimiu, był właśnie przez niego podpisany. Pomyślałam, że pójde do niego, przypomnę się, powiem, w jakiej sytuacji jestem, i spytam, czy może wie, co dzieje się z moim bratem Janem Duniczem.

Okazało się, że o bracie nic nie wiedział. Ale spytał, co robię, czy pracuję, czy umiem przepisywać nuty. Przyniósł papier, kałamarz, wykazałam się, więc zaprowadził mnie do pracowni materiałów pisanych, żebym dostała jakąś robotę. I wreszcie miałam pewne pieniądze. Ale nie było w pracowni miejsca, więc przepisywałam u tej rodziny, która mnie przygarnęła. Potem, za jakiś czas, dyrektor Ochlewski pyta mnie, czy ja piszę też na maszynie. Mówię mu, że przypadkiem piszę. Mój ojciec, radca skarbowy, na emeryturze kupił małego remingtona i trochę mnie poduczył – pisałam trzema palcami. Dyrektor poprosił, bym zastąpiła jego sekretarkę, która wyjechała. I tak dostałam pracę.

Wciąż jeszcze nie miałam jednak mieszkania. Myślałam, że w Krakowie się nie utrzymam, że muszę przenieść się na prowincję, do jakiejś filharmonii. Spytałam kolegę Kisielewskiego, czy nie zna jakichś dyrektorów z innych miast. Dostałam list polecający, przyjęto mnie, przez dziewięć miesięcy grałam w filharmonii w Sopocie, ale tam też nie dostałam mieszkania. Aż któregoś dnia przyszedł list z Krakowa, że mają dla mnie miejsce. Wróciłam. Zaczęłam pracować w dziale wydawnictwa PWM-u, czyli Polskiego Wydawnictwa Muzycznego. *Ciekawi mnie, czy pani koleżanki i koledzy z pracy wiedzieli, że grała pani podczas wojny w orkiestrze obozowej?*

Wiedzieli.

Czy łatwo było pani o tym mówić?

Wtedy jeszcze nie. Dopiero z czasem, choć trudno mówić o łatwości. Książkę o tamtym czasie wydałam w sumie niedawno.

Myśli pani, że praca w orkiestrze panią uratowała?

To, że grałam na skrzypcach, na pewno mnie uratowało. Przy rejestracji do Birkenau pytano o wiele szczegółów, datę urodzenia, miejsce zamieszkania, zawód. Gdy powiedziałam więźniarce rejestrującej, że gram, ucieszyła się i zapisała mój numer. Mówiła, że mają małą orkiestrę i trzeba mnie do niej zgłosić. Poczekałam kilka dni i wezwano mój numer, poszłam do baraku, gdzie ulokowano orkiestrę. Dyrygentka Alma Rosé przesłuchała mnie. Położyła nuty na pulpicie i uznała, że mogę grać.

Helena Dunicz-Niwińska

Jak często musiałyście grać?

Nasza kapela ćwiczyła cały dzień. Nieraz Alma Rosé prosiła, żeby po kolei ćwiczyły skrzypce, flety, akordeony, mandoliny, a potem wspólnie wykonywałyśmy utwór. Było też bardzo dużo marszy granych przez orkiestrę, gdy kolumny robocze wychodziły po apelu na zewnątrz do pracy. I potem, wieczorem, po pracy, kiedy więźniowie wracali w okropnym stanie, grałyśmy ustawione przy bramie. Niewątpliwie nasze warunki w baraku były stokroć lepsze niż w barakach zbiorowych.

Czy to prawda, że mogłyście wychodzić na spacery poza ogrodzenie obozu?

Nie i tak. To nie była norma, ale faktycznie zdarzyło się to chyba ze dwa razy. Choć było to dopiero w 1944 roku. Dostałyśmy takie zezwolenie, nie pamiętam jednak, czy to jeszcze za życia Almy Rosé. Wyprowadzono nas w piękny dzień, było zielono, to było duże przeżycie takiego oddechu.

Co panie grały na co dzień?

Repertuar opracowany przez Almę Rosé. Zwykle były to utwory rozrywkowe. Najpierw uwertury do operetek, na przykład Straussa. Potem jakieś fragmenty arii operowych. Alma Rosé opracowywała to dla naszego zespołu, to były oryginalne zestawy. Niestety, nic się nie uchowało. Gdy dopiero po dziesięciu latach pojechałyśmy do obozu spytać, czy zostały jakieś nuty, okazało się, że uratowała się tylko część nut męskiego obozu. Szkoda, to było wszystko ręcznie przepisywane, w naszej kapeli były specjalne miejsca dla kopistek, bo każdy pulpit potrzebował swoich nut.

Jak brzmiał obóz? Co było słychać, gdy panie akurat nie grały?

Trudno powiedzieć. Na ogół w obozie była cisza, jak te wszystkie kolumny wyszły do pracy. Nie było gwaru, nie było hałasu, co najwyżej jakieś komendy czy karne wykrzyki.

Helena Dunicz-Niwińska milknie i dopiero po dłuższej chwili dopowiada:

No, ale prawie codziennie, a potem także kilka razy dziennie przechodziły i przechodziły obok całe tabuny ludzi, zwłaszcza transporty żydowskie, które szły w stronę krematorium. Oni też w ciszy zupełnej szli. Jeśli chodzi o Żydów, to przeważnie w czarnych



x

ubraniach, w chałatach, bardzo wielu starozakonnych szło. To wszystko odbywało się w ciszy. Zupełnej.

Dla nas było jednak głośno, bo po powrocie z rannego apelu jaliśmy śniadanie i od razu zasiadałyśmy do prób. Potem był czas na przerwę obiadową. Sztubowe przynosiły kotły z zupą, miałyśmy jakąś godzinę przerwy i potem znowu ćwiczyłyśmy, aż do wieczornego powrotu więźniów i apelu.

Czy to prawda, że repertuar zależał od tego, skąd przychodził dany transport?

Nie, to akurat nieprawda, repertuar od tego nie zależał. W niedzielę był czas bez pracy i trochę było ruchu na obozie, można było odwiedzać znajome z innych baraków. Ale przeważnie te więźniarki, które na co dzień pracowały, szły spać. Władze esesmańskie nam narzuciły, że w niedzielę mają odbywać się godzinne koncerty, wtedy repertuar mógł zależeć od czyichś sugestii. Ale jak mówię, repertuar był bardzo zróżnicowany. Były arie z *Rigoletta*, dużo walców, kończyło się szlagierami, ówczesznie w Niemczech znanymi.

To były koncerty niby dla więźniów. Także dla chorych z pomieszczeń szpitalnych. Niektóre więźniarki przychodziły posłuchać i oczywiście władze esesmańskie też. Ale oni na krótko przychodzili, mieli specjalne krzesła przygotowane. A dla transportów nie grałyśmy specjalnie, można powiedzieć: przypadkowo. Grałyśmy także dla nich, o tyle, że przychodziły dzień i noc, dzień powszedni czy niedziela, te tłumy przechodziły obok nas. Blisko, jakieś pięćdziesiąt metrów od nas. Dzielili nas tylko druty, ale co to jest?

Z początku, gdy nie było tak dużo transportów, tylko na przykład jeden w ciągu dnia, władze kazały nam na czas jego odbioru wchodzić do baraku i zamykać drzwi. Nie wolno było wyjść. Ale potem, gdy transporty szły w nocy i w dzień, jeden za drugim, Niemcy już nie zwracali uwagi, to było już tak codzienne, powszednie. Myśmy sobie grały, na przykład próby, a ludzie szli.

Jak Niemcy was traktowali?

Na pewno lepiej. Przychodzili z władz, komendantka czy komendant, lekarze, doktor Mengele, zwykle z jakąś świtą, wtedy rozmawiali z dyrygentką, coś sobie życzyli, żeby zagrać. Zwykle nie wysłuchali nawet całego utworu, czasem tylko kawałek. Rozmawiali wyłącznie z dyrygentką, z nami absolutnie nie. To, co pisze Fania Fénelon w swojej książce o orkiestrze, jest kłamstwem, aż mnie

Helena Dunicz-Niwińska

trzęsło ze złości, gdy to czytałam. Pisała na przykład, że Kremer zbliżał się do kopistek i dyktował im coś, ale to jest jej fantazja.

Dlatego napisała pani własną książkę? Ze złości?

Najpierw pisałam recenzję tamtej książki, ale jedno nie wynikało z drugiego. Raczej dojrzałam, że trzeba napisać, jak to wyglądało. Czytała może pani?

Czytałam. Jestem ciekawa, jak traktowały was inne więźniarki?

Były podzielone zdania. Niektóre były bardzo zadowolone, że jest jakaś odskocznia od tego okropnego dnia pracy, że można chwilę posłuchać muzyki, czegoś ze świata zewnętrznego. A inne nie bardzo. Jedna z moich koleżanek mówiła, że jak przechodziłyśmy, to któraś napluła jej w twarz: „Jak wy tu możecie grać? Pod samym krematorium? Przy tym, jak ukazują się te ognie i dymy idą z kominów? Jak możecie grać?”. Mogłyśmy nie grać, oczywiście. Ale my chciałyśmy żyć.

Pewnie chętny do orkiestry było więcej niż miejsc? Czy była duża rywalizacja?

No, na pewno. Alma nie wszystkie musiała przyjmować i nie wszystkie przyjmowała. Wcześniej to samo dyrygentka Czajkowska. Nie wszystkie się też zgłaszały. Były przecież takie, które mogłyby grać, ale nie chciały właśnie dlatego, że to dla nich było karygodne.

Tak jak graficy, malarze i pisarze, którzy służyli esesmanom, a inni ich potępiali. To jest kwestia jakiegoś wycucia. Ale też niektóre więźniarki twierdziły, że skoro można mieć lepsze warunki, trzeba z tego skorzystać. Niech tych kilkadziesiąt przeżyje. Więźniarki, które pracowały na zewnątrz, miały przecież warunki prowadzące do śmierci.

Czy dostawałyście więcej jedzenia?

Więcej chyba nie. Miałyśmy tak zwane zulagi raz albo dwa razy w tygodniu. Ten dodatek polegał na tym, że na kostce chleba była jeszcze maleńka margaryna i plasterek kiełbasy, a raczej pasztetówki jakiejś, szerokości paznokcia. Jadałyśmy z tych samych kółków co inne, ale raczej o innych porach. Tylko jedno było, że każda z nas dostała, ile jej przyznano, to znaczy, że nasza blokowa nie kradła, dzieliła chleb i zupę sprawiedliwie, po równo. W innych blokach blokowa czy sztabowe odcinały sobie chleba, bo to była waluta. Za chleb można było bardzo wiele dostać.

Jak byłam chora na tyfus i byłam w szpitalu, to koleżanki przynosiły mi w butelce jakąś wodę czy coś takiego, ziółka albo kawę wieczorem. W nocy mi wyciągały inne więźniarki spod głowy, spod poduszki tę wodę. Ale nie można było wyegzekwować kary, każdy był chory, spragniony.

W co była pani ubrana? Miałyście pasiaki?

Myśmy w pasiakach musiały grać na co dzień, a na koncertach niedzielnych dostawałyśmy od sztubowych spódnice granatowe, białe bluzki i niebieskie chustki.

Czy musiałyście czasami grać przy jakichś specjalnych okazjach?

Żadnych uroczystości nie było. Tylko te niedziele, chyba że padał deszcz.

A zimą? Gdzie wówczas grałyście?

Zimą nas zwolnili, dyrygentka to wyprosiła u władz. Żebyśmy nie szły grać przy bramie, gdy był duży mróz. Powiedziała im, że instrumenty się psują, to na nich podziałało. Wtedy tylko na poranny apel szła perkusja, by podawać rytm marszu. My ćwiczyłyśmy w baraku, pod dachem.

Chciałabym teraz spytać o moment, w którym pani trafiła do obozu...

Jakoś tak dziwnie było. To był szok, szok dosłownie. Tatuowali.

Czy to bolało? – pytam, łapiąc się za przedramię.

Czy to bolało? Wie pani... bo to z tej strony, nie tam – Helena Dunicz-Niwińska dotyka z kolei swojego przedramienia – o, tu, tu, tak. Jakoś tak dziwnie było. Ja sobie ten przyjazd, rejestrację inaczej wyobrażałam. A to był szok, szok dosłownie.

Pani była wówczas ze swoją mamą?

Tak. Pętałyśmy się obie po takim dużym baraku. Potem się dowiedziałam, że tego baraku już nie ma. I musiałyśmy przechodzić koło stołu długiego, po drugiej stronie były te, które tatuowały. Ja pamiętam doskonale, jak na drugi dzień zastanawiałam się, czy to nie bolało, czy to możliwe? Okazało się, że to chyba na skutek stresu. Nie czułam, co mi robią.

Czy rozdzielono was z mamą?

Niestety, ponieważ dziewięć miesięcy siedziałyśmy w więzieniu w Lwowie, mama w jednej celi, ja w drugiej, połączyłyśmy się dopiero w czasie transportu. No i myślałam sobie, że w obozie będę się spotykać z mamą, tyle jest tu przestrzeni. A tymczasem tam były restrykcje, nie wolno było przekraczać pewnego odcinka obozu.

Helena Dunicz-Niwińska

Bo nasz obóz był podzielony na dwa odcinki, nie wolno było przechodzić za bramę, nie wolno było przekraczać granicy drutu. Ja po przyjęciu do orkiestry byłam właśnie w innej części niż mama. Udawało się tylko chyłkiem, wieczorem, po apelu. Myśmy wówczas odnosiły stolki i pulpity. Codziennie musiałyśmy prznosić je z bloku na ten plac. Więc po tym, jak szłam po ten pulpit, wstępowałam do mamy. Ale to było zakazane, gdyby mnie nakryła jakaś strażniczka, czy nawet nie tylko, choćby któraś z tych gorliwych, kapo, mogłabym mieć wielkie nieprzyjemności.

A czy w niedzielę można było legalnie odwiedzać?

Tak, ale tylko w niedzielę. Było to dozwolone.

Jak wyglądał obóz?

Żadnych drzew. Dopiero gdzieś tam na horyzoncie. Za krematorium, tam były drzewa, ale one były jeszcze niskie. Teraz są wysokie, wtedy były niskie. Było błoto, jakieś prowizoryczne ścieżki między blokami, ale głównie błoto. Skrawka trawy wówczas nie było. Wszystko było wydeptane. Birkenau było na terenie bagnistym, więc właściwie można powiedzieć, że trupy wielu były tam zatopione po prostu.

Jaki był zapach?

Zapach był z tych dymów okropny, lepki.

Czy tam były jakieś zwierzęta?

No, tylko wszy i pchły, i szczury. Może jakieś myszy. Tego to nie brakowało. Chyba nie latały tam ptaki, ten smród nie pozwalał.

Jak wyglądały wasze baraki?

A była pani w Birkenau? Ma pani wyobrażenie? My byłyśmy z mamą zameldowane do 25 bloku, tak zwanego bloku śmierci. Tam było okropnie, zresztą podobnie jak w innych murowanych barakach. Było takie zagęszczenie, że na jednej koi było nas osiem, spałyśmy na waleta, na gołych deskach. Myśmy z mamą trafiły na najgorsze miejsca, na wilgotnej ziemi, na najniższym poziomie. Nie umiałyśmy się, to znaczy ja nie umiałam się bić. Bo trzeba było dosłownie kogoś porządnie zbić i mieć siły, żeby się jakoś dopchać. I na te osiem osób był jeden kocyk, za dużo powiedziane, szmata, na gołych deskach, niczego więcej nie było.

A w baraku dla kobiet z orkiestry?

No, tam było zupełnie inaczej. Jednak miałyśmy te prycze, też piętrowe, trzy poziomy, ale była jedna osoba na pryczę. Poza tym

miałyśmy sienniki, koce i jakieś poduszki z siana. Nie mówiąc o tym, że jeśli chodzi o jedzenie, gdy sztubowe przynosiły kocioł, to tam była wystarczająca ilość porcji dla nas. Bo gdzie indziej trzeba było się bić o swoją porcję. Esesmani tego nie pilnowali, odwrotnie – oni się cieszyli, że więźniarki między sobą się biją. Część zupy wylewała się na skutek tego naporu.

Czy to była norma, że kobiety ze sobą walczyły?

Wie pani, tam była śmiertelna walka o byt. Jedne były takie, które potrafiły się bić i nagadać, a drugie znowu kradły, zwłaszcza w nocy, szukały jedzenia pod głowami. Bardzo różnie, jedne pomagały drugim, bo na przykład udało się przynieść wodę z kuchni. Ale to było bardzo różnie, trzeba było mieć dużo szczęścia, żeby znaleźć kogoś ze starszych, bywałych w obozie, które by wiedziały, gdzie i jak co zdobyć. Inne czuły się zupełnie opuszczone, nie miały już sił i stały się takimi muzułmanami, bo nie miały sił chodzić, szukać. Siadały pod barakiem na ziemi i po prostu ginęły.

Czy czuła się pani samotna?

Czułam się strasznie sama. W celi we Lwowie były rozmaite okresy, ale jednak było nas kilkanaście, przyzwyczailiśmy się do siebie. A w obozie nagle to się wymieszało. I mama, i ja czułyśmy się samotne. Nawet gdy przyszedłam do kapeli, czułam się zupełnie sama. Przecież nikogo tam nie znałam. Dopiero podeszła do mnie Wisia w czasie pierwszej próby. Zapytała mnie, kim ja jestem, skąd jestem, skąd przyjechałam, i tak po ludzku się do mnie odezwała. Gdyby nie to, byłabym wciąż tylko na siebie zdana. A ona już miała doświadczenie. Po wojnie, po tym, jak u niej mieszkałam, wciąż się trzymałyśmy i odwiedzałyśmy. Nawet udało mi się później zaangażować ją w PWM -ie jako kopistkę. Zmarła w 1981, miała dwa zawały, więcej przeszła ode mnie, jeszcze w więzieniach, była bita, miała ciężkie przesłuchania. Ja jakoś miałam szczęście, nie należałam do żadnych organizacji, nie chciałam mamy narażać, bośmy zostały same zupełnie za bolszewików. Myślałam, że jak mnie aresztują, co ta mama zrobi? No, ale tymczasem inaczej to się stało... Niemcy nie zważali, czy się jest zaangażowanym, czy nie. Po drodze każdego mogli dopaść.

Dlaczego panie zostały uwięzione – najpierw we lwowskim więzieniu, a potem w obozie? Był jakiś konkretny powód?

Do obozu można było iść z łapanki. A u nas – przypadek. Jeszcze za bolszewików musiałyśmy wynajmować jeden pokój, bo była taka

reguła, że ileś metrów kwadratowych przypada na jedną osobę. Ponieważ z naszej rodziny z pięciu osób zostały nas tylko dwie, musiałyśmy wynająć pokój. Pilnowała tego administracja. Potem pozbyłyśmy się jakoś tych ludzi, to była rodzina, rodzice i trzy córki, trochę uciążliwe. Gdy przyszli Niemcy, prosiliśmy, by znaleźli sobie co innego. Ale musiałyśmy za Niemców też zapełnić metraż. Znowu szukałyśmy kogoś. Polecono nam dwóch panów, chętnie przystałyśmy, bo przynajmniej częściowo opłacali czynsz. Myśmy były w okropnych warunkach, nie miałyśmy żadnego zaopatrzenia, kompletnie. Musiałyśmy sprzedawać, co się dało, nawet kończyło się na tym, żeśmy meble musiały sprzedawać. Była drożyzna niesamowita. I rzeczywiście, wprowadziło się dwóch panów, nie byli zupełnie uciążliwi, często wyjeżdżali. Mówili, że są komiwojażerami i że jeżdżą służbowo poza Lwów. Okazało się, nawet domyśliłyśmy się po paru miesiącach, że oni chyba należą do jakiejś organizacji podziemnej. Dawało nam to do myślenia. No, ale stwierdziłyśmy, że skoro są zameldowani, pokazali zarządowi kamienicy swoje dokumenty, mają pracę, byłyśmy spokojne. A tymczasem była wpadka, potem się w latach osiemdziesiątych dopiero okazało. Znajomy wionlonczelista z Katowic przysłał mi wycinki z prasy, gdzie jest napisane, że w takim a takim okresie była wielka akcja niemiecka poszukiwania AK. Podobno u jednego z nich znaleziono wykaz mieszkańców zaangażowanych osób. I nasze było na tej liście. Potem w naszym mieszkaniu zrobiono tak zwany kocioł – kto przyszedł nas odwiedzić, ten wpadał. I tak przyszli po nas Niemcy.

Mogły panie coś ze sobą wziąć?

Nie, nic, tylko mogłyśmy się ubrać, bo to był styczeń. Tyle pozwolili. Jak stałyśmy, tak żeśmy zostały wzięte. Dziewięć miesięcy byłyśmy w więzieniu we Lwowie. Potem front radziecki napierał, Niemcy się wycofywali. Któregoś wieczoru pod koniec września u nas w więzieniu przenikały informacje, że są już jakieś transporty. Na podwórzu więzienia skupiały się setki więźniów z więzień na prowincji – ze Złoczowa, Stanisławowa, Tarnopola, mniejszych wojewódzkich i powiatowych miast. Niemcy zrobili duży transport, dołączyli nas do nich. Dużymi samochodami ciężarowymi zawieźli nas na dworzec, na boczną rampę. Tam nas załadowali do bydłowych wagonów, okropnych, ciasnych, nie można było usiąść ani kucnąć. Trzy dni i trzy noce jechaliśmy.

Dostaliście jedzenie albo wodę?

Nic. Nie powiedziano też, dokąd nas wiozą. Zastanawialiśmy się, czy jedziemy do Majdanka, czy do Oświęcimia. Wówczas już były to znane obozy. Mama pochodziła ze Śląska, więc po kierunku jazdy zorientowała się, że jedziemy chyba do Oświęcimia.

Czy miałyście już wówczas świadomość, co tam się dzieje?

No, wiedziałyśmy. Jednak było wiadome, że jest obóz, co to za miejsce, że jest okropne. Ale nie wiedziałyśmy szczegółowo, jakie są warunki.

Co się wydarzyło, gdy dojechaliście?

To było późnym wieczorem. Świeciły bardzo ostro światła, przynajmniej dla nas. Esesmani wrzeszczeli, żebyśmy wychodzili i się ustawiali, psy ujadły, rwały się do nas, jak przy każdym transporcie. Wrzaski, wrzaski, wrzaski. W końcu przez megafon zapytali, czy ktoś czuje się słaby lub czuje, że nie dojdzie. Wówczas oferowali, że podwiozą, trzeba było wsiąść na takie ciężarówki z plandekami. Myśmy z mamą się zastanawiali, co robić, bo mama miała już pięćdziesiąt cztery lata. Zdawałam sobie sprawę, że po dziewięciu miesiącach więzienia, głodu i braku powietrza mama jest na pewno bardzo słaba. Czy da radę? I jak długo trzeba iść? Jednak postanowiliśmy, żeby się nie rozłączać. Potem dowiedziałyśmy się, co stało się z tymi, którzy zgodzili się na podjazd samochodami.

Zaprowadzili nas do pustego zupełnie baraku i cała procedura przyjmowania: tatuowanie, leżaliśmy na gołej ziemi, potem kąpiel. Z początku miałam nadzieję, że mama jakoś przetrwa. Bo mama była zdrowa kompletnie, zdrowa zupełnie. Wyglądała dobrze. Naprawdę nigdy nie chorowała w domu, dosłownie nigdy.

Wierzę. Co się stało?

Dwa miesiące wytrzymała te warunki, na kwarantannie tak zwanej. To były potworne rzeczy. Mama w końcu po sześciu tygodniach dostała Durchfall i to ją zupełnie wykończyło. I koniec.

Helena Dunicz-Niwińska przez długi czas milczy, nie patrzy na mnie. Nie wiem, o co mogłabym teraz pytać. W końcu zaczyna mówić o bracie.

A jeśli chodzi o brata, wciąż szukałam go po wojnie, rozmaite karteczki wieszałam, do gazet wysyłałam. Nie pomyślałam, żeby

Helena Dunicz-Niwińska

w Warszawie też szukać, a ja tylko szukałam przez prasę krakowską. I dopiero po jakimś czasie zaczęłam pisać do powstałych klubów, takich i owakich, napisałam też do tych, co stworzyli Klub Gross-Rosen. No i nie dostawałam odpowiedzi. Wreszcie, po dwóch latach, w odpowiedzi na któreś ogłoszenie napisał do mnie więzień, który był w Gross-Rosen i w Dorze. No i właśnie: on się zajmował w Dorze spisami więźniów, którzy przychodzili do szpitala. A potem jeszcze dostałam dwa listy od byłych więźniów, ale to było dopiero w latach siedemdziesiątych. Krótkie były, pisali o tym, jak byli ewakuowani. Myśmy na przykład szli tylko trzy dni do Wodzisławia, a oni sześć tygodni szli z Gross-Rosen do Dory, zimą, w mrozie. Nie wiem, co dostawali do jedzenia. Trudno mi to sobie nawet wyobrazić. Podobno brat doszedł do Dory, ale tam się rozchorował i po trzech dniach zmarł, na kilka dni przed uwolnieniem tego obozu przez Amerykanów.

Gdybym mieszkała w Warszawie, może dowiedziałabym się o nim wcześniej od jego znajomych. Raz napisała do mnie jedna pani, jego koleżanka. On chyba też był aresztowany w konsekwencji wypadki i przejścia listy adresów – aresztowali jego oraz gospodynię, u której mieszkał. Zrobili rewizję, wszystkie papiery latały. Ją po tygodniu wypuścili. We Lwowie byłoby to niemożliwe.

Czyli po wojnie nie został pani praktycznie nikt z rodziny?

No, wie pani, o tym dowiedziałam się dopiero po dwóch latach. A jeśli chodzi o drugiego brata, tego z Anglii, to nawiązałam z nim kontakt. Pisywaliśmy do siebie, ale tylko tyle. I chyba w 1965 roku był tutaj, w Krakowie, na uroczystości jubileuszu powstania uniwersytetu. Brat był doktorem chemii i mieszkał już wówczas w San Francisco. I był w liczbie tych, którzy mieli wygłosić w Moskwie referat, była jakaś wielka konferencja naukowa chemików. Przejeżdżał przez Polskę. Odwiedził mnie wówczas w Krakowie. Później zaprosił do siebie, więc byłam u niego, chyba w 1966 roku.

A była pani po wojnie we Lwowie?

Byłam, wreszcie się zdecydowałam. Poznałam takiego pana w Krakowie, który udostępnił mi tam swój domek. Potem jeździłam na wycieczki z Towarzystwem Przyjaciół Lwowa.

A w Birkenau?

Dopiero po dziesięciu latach. Pojechaliśmy z Wisią. Wcześniej nie chcieliśmy. Trudno powiedzieć, jak było. Wspomnienia zostały,

trudno opisać. Nie chciałyśmy wgłębiać się w to, co się zdarzyło. Po wojnie, jak chodziłam po Krakowie, to widziałam na przykład jakieś byłe więźniarki, które chodziły w pasiakach. Wie pani, ja nie mogłam wyjść z podziwu. Jak one mogły jeszcze nosić te pasiaki? Ja czym prędzej chciałam się w normalne szmaty ubierać. Było RGO, gdzie można było coś dostać z magazynów, ale ja też nie miałam szczęścia. No i trzeba było podpłacić, żeby dostać coś przyzwoitego. Nawet bielizny wówczas nie można było dostać.

Po wojnie ciągle odpychałam myśli o tym, co się zdarzyło. Chciałam zupełnie zapomnieć. Ja sobie powiedziałam: to jest przeszłość zamknięta. Nie ma Lwowa, nie ma mojej ojczyzny, nie myśleć o tym. Miałam to szczęście, że dostałam się do Polskiego Wydawnictwa Muzycznego, bo mnie tak emocjonalnie wciągnęła ta praca, że faktycznie niewiele rozpamiętywałam. Dzięki dyrektorowi Ochlewskiemu, który był znakomitym człowiekiem, stworzyliśmy ważną instytucję i muzyczne wydawnictwo, jakiego nie było nawet przed wojną. Co prawda nasze władze musiały to zepsuć. Dyrektor miał zapasy, broszury kilku czy kilkunastu kompozytorów, gdzieś tam schowane w piecach w Warszawie (bo on pochodził z Warszawy). Gdy tylko zaczął coś drukować i starał się później wysłać do Austrii, Paryża, Londynu, władze to ukróciły. Zaprzepaścili osiągnięcia Polski od razu po wojnie.

A czy udzielała się pani po wojnie w klubach poobozowych?

Tak, myślę, że nadal należę do Klubu Auschwitz, ale przecież ten klub zupełnie się rozpada... Gdy jeszcze żył Józef Paczyński, czasami spotykaliśmy się na obchodach. Wcześniej byłam aktywna, znaliśmy się przez fundację i przez przychodnię przy Dietla. Ale myślę, że już nigdy nie pojedę do Oświęcimia.

Teraz jestem zbulwersowana, jak potraktowano więźniarki starszuszki w Ravensbrück podczas obchodów siedemdziesiątej rocznicy wyzwolenia. Najpierw rozdano im kartki na jedzenie, a potem musiały chodzić i wydawano to na plastikach. Władze w tym czasie były obsługiwane przez kelnerów, a jedzenie podawano na porcelanie. To skandal. Niemcy zareagowali, w prasie podobno huczało od tego. A u nas, w Polsce? Cichutko. Dopiero teraz „Tygodnik Powszechny” dał dwa artykuły. Człowiekowi się nie chce wierzyć, że można tak ludzi niszczyć w ten sposób. Uważaliśmy przed wojną, że Niemcy to naród o wyższej kulturze. My zawsze

Helena Dunicz-Niwińska

biedni, wiadomo, tyle było tych wojen, rozdziałów, rozbiorów, zawsze byliśmy w pozycji niższej. Ale żeby teraz to kontynuować? *Rozmawia pani o takich sprawach z koleżankami? Czy w ogóle żyją jeszcze koleżanki z obozowej orkiestry?*

Nie, już nie. Jeszcze w zeszłym roku żyła jedna nasza sztubowa i kopistka, która na początku była skrzypaczką, taką słabą. Bo tam dużo amateerek było. Ale była dla nas bardzo dobra i przyjazna. Starła się dla nas o lepszą bieliznę, brykiety w zimie, bardzo pomocna. Zmarła w zeszłym roku.

Właściwie nikt z kobiet z Auschwitz nie przychodzi już na spotkania. Na początku była jakaś pani Aleksandra, ale potem znikła. Miałam kontakty z Hanką Schiller i z Wandą Marossanyi, czasami się spotykałyśmy. A z kapeli to już od kilku lat nikogo nie ma, z sześć lat temu zmarła druga moja przyjaciółka, Zosia Cykowiak. *Co wam dawały te spotkania? Jakies poczucie wspólnoty?*

Nie, muszę przyznać, że ja nigdy nie byłam zaangażowana w klubie, zupełnie nie. Nie czułam potrzeby. Byłam zaangażowana w pracy, to mi pozwoliło się odseparować od tego, co się w Polsce komunistycznej działo. PWM to był inny świat. Ale też odseparować się od wspomnień. A zwłaszcza że w klubie nie było nikogo z mojego najbliższego otoczenia. Pan Paczyński jeszcze jakoś mobilizował wspólne wyjścia, a teraz to już nie ma kto. Angażował się jeszcze pan Tadeusz Sobolewicz, on był aktorem, zawsze chodził w muszce. A teraz, jak go spotkałam, to ruina, nie człowiek. Zresztą sama nie mogę wychodzić. Po wypadku zimowym miałam złamany kręgosłup. Najpierw musiałam leżeć na wznak, nie ruszając się w ogóle. Potem powoli, powoli. Ale ja się staram. Inaczej koniec byłby taki, że leżałabym, leżałabym... a to trzeba się ruszać. Wie pani, ile ja mam lat? Urodziłam się w Wiedniu w 1915 roku! Zresztą te wspomnienia wojenne codziennie wracają. Nie chcę, a myślę.

Przecież pani jest teraz w doskonałej formie?

Tak się pani wydaje... Już tylko wyglądam.